

się, wygiął plecy w pałąk, zda się, cały przeistoczył się w znak zapytania.

— Ale cóż, cóż na to wyniesienie pułkownika powiedzą generałowie! — ozwał się Niemojowski.

— Przystaną na to tem chętniej — że Bem wychodzi nie z ich koliska, że nie jest ich współzawodnikiem, że dobył się poza ich inwidy, że nie miał sposobności narazić się któremu z nich, że jest człowiekiem nowym...

— Lecz w każdym razie generałów to dotknie.

— Najwyżej kilku najstarszych i tych, z których i dotąd nie wielka była pociecha. Mianowanie Bema zniewoli partye do wyczekiwania.

— Gdybyż był chociaż generałem brygady.

— Może nim zostać natychmiast.

— Ależ, ależ to niepodobna — zaproponował Niemojowski — mości książe wysunął kandydaturę tak niespodziewaną, że wyznać się nie można! Trzeba by namysłu, czasu, bodaj rozmówienia się z przyszłym wodzem, zapoznania z nim!

— Bem jest tutaj. Czekaj wezwania z racyi wykrytych przezeń papierów. Proponowałbym go przywołać; zagadnąć...

— A ja proponowałbym zarządzić przerwę, aby wytchnąć, zastanowić się.

To ozwanie się Morawskiego poparł nietylko Barzykowski ale i Lelewel.

Książe zmarszczył się, uległ, lecz myśli rzuconej śnać tem zawzięciej bronić postanowił, bo ledwie ruszono z za stoła, do Niemojowskiego podszedł i odciągnął go we framugę okiennej i wszczął z ministrem spraw wewnętrznych pojednawczą rozmowę.

Morawski i Barzykowski wyszli z sali obrad do bocznych komnat. Lelewel, wyprowadzony z apatycznej drzemki kartką, podaną mu przez woźnego, również się wysunął.

Czartoryski atoli nie zważał na to, gdzie i w jaki sposób światło umysłu ministrów sposobią się do powzięcia sądu o Bemie. Księciu szło o Niemojowskiego. Przewódca i filar Kaliszaków, w tym razie był do zjednania. Bem stał poza granicami niechęci osobistych niemojowszczyków. Jedno więc zręczne zaszachowanie uczciwości niezaprzeczanej ministra, przekonanie go, że Bem nie jest kreaturą stronnictwa, wróżyło wygranę. Barzykowskiego książe był pewien. Minister wojny nawet przy różnicy zdań, ustępował mu. Pozostawali Lelewel z Morawskim, lecz ten ostatni, w razie zgody Niemojowskiego, napotył przekonany.

I Czartoryski, nie pomny zapalczywości, którą mu minister spraw wewnętrznych dokuczył nieraz, niepomny, że brat rodzony ministra, Bonawentura, tyle mu życia zatruł w sejmie, — zagadnął tak szczerze, tak otwarcie przeciwnika, że ten zmiękł i ledwie się bronił.

Książe podwoił atak. Zaprawiony, zahartowany w ogniu dyplomatycznych zapasów, statysta zasadził się na gorąco pocziwego, lecz nieopatrzego polityka.

Niemojowski topniał, stygl w swych zapalach, poniechał Skrzyneckiego i już osłaniał się trudnością obsadzenia generał gubernatorstwa.

— Przystaną na każdego, kogo waszmość pan wskazesz! — natarł przebiegle książe. — Niech będzie który z pułkowników! Nie lejmy starego wina w nowe statki.

— Podpułkownik Kamiński.

— Doskonały wybór. Ręka moja. Godzę się z całego serca.

— Lecz gdyby Bem, gdyby odnośnie Kamińskiego minister wojny...

— Podpiszemy więc równocześnie obie nominacje. Czartoryski nie posiadał się z ukontentowania. Zwycięstwo było dlań teraz niechybnem. Zwycięstwo, więc położenie kresu niesnaskom, więc zapewnienie Rządowi powagi, więc nareszcie zdobycie władzy. Bema wspierał ale i ukrać będzie rada wojenna, naczelnik sztabu głównego i kwatremistrz. Zanim młodemu wodzowi dyktatorskie urosną rogi, Rząd zdola z p. atarchii w tryumwirat się zamienić a więc zbliżyć się do właściwej formy, do wybrańca narodu, do jednej głowy państwa.

Podczas gdy książe, strzegąc się zdradzić ze swem ukontentowaniem przed Niemojowskim, obo-

jętą z nim dalej wiódł rozmowę, trzej inni członkowie Rządu również nie tracili czasu.

Morawski z referendarzem Jelskim przechadzał się po krużganku. Barzykowski z komendantem pałacu odbywał jakąś służbową naradę. Lelewel zaś na dół do komnaty przyjąć podążył. Skinął uprzejmie pułkownikowi Bemowi, który na widok dostojnika, porwał się na równe nogi, — i skreślił pod arkady, kędy w mrokach skrzyły się srebrne epolety porucznika gwardyi narodowej.

Bem, wyprowadzony z odrętwienia zjawieniem się Lelewela, mimowoli zwrócił głowę ku miejscu, gdzie rozległ się niebawem odgłos przytłumionej rozmowy. Lecz własnej zawstydzony się ciekawości, podniósł się i przesiadł na bardziej oddalone od wejścia miejsce. Tu atoli spotkała go niespodzianka. Łuki arkad w tę stronę niosły echo pełne, wyraźne.

Pułkownik raz jeszcze chciał zmienić krzesło, gdy echo wyniosło jego nazwisko a tuż po niem przyniosło mu falę gardłowych, znajomych dźwięków...



Nie zgadzam się i w razie nominacji pana Bema zapowiadam usunięcie się moje z rządu.

Bemowi zdawało się, że słyszy głos Gurowskiego. Ale się pomiarkował i dla odpędzenia złudy, uważniej się wsłuchał. Echo zamieniło się raptem w chrapliwe pomrukiwania. Wyrazy pojedyncze zlewały się, nie dawały się ująć. Ale wrażenie, iż tam, pod arkadami, rozmawia z Lelewalem Gurowski, spotęgowało się, wzmocniło.

W komnacie rozległy się znów drobne, niepewne kroki. Lelewel wracał. Bem wstał i cofnął się pod okno, aby nadchodzącemu ministrowi więcej przestworza dać. Lelewel atoli, miast minąć Bema, przystanął i wyciągnął doń uprzejmie rękę.

— Wszak imć pan pułkownik Bem?

— Na rozkazy pana ministra.

— Szczerze się cieszę. Dystygowałeś się pułkownik niezwykle, znakomicie!...

— Panie ministrze.

— I co? Udrczyłeś się pułkownik tem czekaniem — he? Ba, sam byłem pewien, że rychlej dowiesz się o celu powołania cię, lecz, co robić, — książe fumi, magnackie ceregiele. Nie łatwo z nimi, nie łatwo, a pragnę, pragnę! Ale *nec Hercules*... Na mnie możesz liczyć, możesz!... Osobista zasługa u mnie na przedzie.

Bem stropił się. Na ustach zawisło mu pytanie. Lelewel nie dał mu przyjść do słowa.

— Myślisz, pułkownik, że to prezes? — Animowy. — Gdybyś panom się kłaniał, hrabicom potakiwał, co innego. Nie trać otuchy. Ile sił, — zażyję wszystkich. Sprawiedliwie ci się należy, sprawiedliwie.

Tu Lelewel uściśnął żywo dłoń pułkownika i nie zważając nań, podreptał szybko ku schodom.

W sali obrad rozległ się dzwonek. Członkowie Rządu zasiedli. Książe zagał krótko, lapidarnie i od razu zażądał głosowania. Barzykowski, który czegoś był mocno zafrasowany, bąknął, że jednakże dobrze byłoby jeszcze zastanowić się. Czartoryski o zwłoce nie chciał słyszeć, bo zwłoka równała się dlań przegranej. Niemojowskiego mogliby mu odmówić Kaliszanie.

— Musimy zdecydować. Najgorsze postanowienie jest lepsze od wahania! Nie zapominajmy, że ściany mają uszy. Jutro kwestya dowództwa dojdzie pismaków...

— Nie gorsi obywatela od innych.

— Nie uchybiam, — jeno tak doniosłe zagadnienie stąd winno wyjść rozstrzygnięciem.

— Niechybnie. — Słusznie — poparł Niemojowski z Morawskim.

— A więc proponuję pułkownika Bema na wodza naczelnego i już ci za nim się opowiadam.

— Ja również — oświadczył porywczo Niemojowski — z tem, że gubernatorstwo obejmie major Kamiński.

— Nie mam nic przeciwko temu, dodał Czartoryski — a pan, mości ministrze skarbu?

Morawski wytrzeszczył swe małe, okrągłe oczy na Niemojowskiego.

— Jakto, więc pan, pan jest zdania, że pułkownik Bem?

— O ile major Kamiński...

— Zapozwoleniem waszmość panów — głosujemy bez rozpraw.

Morawski zachłysnął się.

— Ja — ja?! Ależ, ależ, to niepodobieństwo... to już lepiej przy Skrzyneckim trwać, niż oddawać dowództwo kawiarnemu patryocie.

— Zapisuję głos przeciwny, bez motywów. — Imć pan Lelewel?

— Nie zgadzam się i w razie nominacji pana Bema, zapowiadam usunięcie się moje z Rządu, bo za występki mam oddawanie dowództwa karciarzowi-faworytowi możnowładztwa, instrumentowi gnębieli ludu!

Książe z całym spokojem zwrócił się do Barzykowskiego.

— Imć pan minister wojny.

Barzykowski zafrasował się, ściągnął brwi i odrzekł cicho.

— Nie mogę za pułkownikiem... nie mogę.

Czartoryskiemu szczęki drgnęły.

— Odmawiasz pan?

— Odmawiam...

Książe wsparł się na rękę, oczy mu zaszklily się, usta poruszyły się z wysiłkiem.

— W takim razie, proszę... waszmość panów... stanówcie...

— Już na dobre świtało, gdy nareszcie przed Bemem zadzwoniły ostrogi majora Borodiczca.

Pułkownik dźwignął się ociężale.

— A do księcia! — Którędy?

— Na pierwsze piętro i potem drzwi na lewo.

Bem, nie postrzegłszy nawet obcesowego teraz tonu komendanta, udał się we wskazanym kierunku. Był znużonym, wyczerpanym tylogodzinnem czuwaniem. Dopiero, gdy z odrzwi wyszczerzył się do pułkownika brązowy, lśniący gryf, Bem otrząsnął się i przybrał nieco raźniejszy pozór.

Książe łaskawie przyjął Bema. Napomknął o jego zasługach, wspomniął o Iganiach, o bitwie ostrołęckiej i zagadnął go o szczegóły wykrycia szpiegowskich papierów.

Pułkownik odpowiedział dokładnie. Czartoryski wysłuchał, rzucił kilka obojętnych zapytań i dodał cicho.

— Tak, hm, bardzo, bardzo ważne rzeczy powiadasz pułkownik, bardzo...

W tem miejscu książe, widocznie doniosłością sprawy porwany, zasunął się w głębi fotela i pograżył się w zadumie.

(Ciąg dalszy nastąpi).